

## Hołd demokracji dla autorytaryzmu

Odkąd świat światem prawo karne bywało narzędziem walki politycznej. W końcu dla każdej władzy, niezależnie od panującego ustroju, lepszą rzeczą jest pogrążyć i usunąć politycznych wrogów, wytaczając im pod dowolnym pretekstem proces karny, niżli męczyć się z nimi z użyciem wulgarnych represji policyjnych.

Oczywiście, ciągle istnieje w tej mierze jakaś istotna różnica pomiędzy reżimami autorytarnymi i demokracjami, deklarującymi szacunek dla tzw. „rządów prawa”. Widać ją choćby, jeśli prześledzić dwa współczesne kazusy rozprawy z groźnym rywalem do władzy za pomocą represji sądowych: Putina w stosunku do Nawalnego oraz Bidena wobec Trumpa. Jednak tam, gdzie stawką jest naprawdę wielka władza, ostatnimi czasy różnica owa, pod pewnymi przynajmniej względami, trochę się zaciera. Z jednej strony demokratycznym politykom częściej teraz, niżli miało to miejsce jeszcze dekadę czy dwie dekady temu, przychodzi do głowy pomysł, aby wykończyć rywala do władzy za pomocą procesów karnych, pod mniej lub bardziej naciąganymi zarzutami. Z drugiej zaś – postępująca w całym demokratycznym świecie polityzacja wymiaru sprawiedliwości sprawia, że politycy znacznie bardziej mogą polegać w takich sprawach na „swoich” (w partyjnym sensie) sędziach, nie ryzykując aż tak bardzo, iż przy orzekaniu sąd bryknie, okazując autentyczną bezstronność i polityczną autonomię.

Chyba jednak nigdy dotąd nie było w kraju demokratycznym takiego procesu karnego, od którego aż tak bardzo zawisłyby polityczne losy świata, jak toczący się w USA proces Donalda Trumpa, oskarżonego o spisek i zamach na amerykańską konstytucję. Gdyby ów proces biegł tak, jak domagał się tego wyznaczony przez rząd Bidena specjalny prokurator Jack Smith, to kandydat Partii Republikańskiej nie tylko zostałby skazany jeszcze przed listopadowymi wyborami prezydenckimi, ale ów wyrok karny otwierałby drogę do uniemożliwienia mu objęcia urzędu na mocy Czternastej Poprawki, jako rebeliantowi. Jednak po czwartku 25 kwietnia 2024 roku wiadomo już, że tak się nie stanie. Rozprawa, która tego dnia odbyła się przed Sądem Najwyższym zyskała w mediach amerykańskich miano „katastrofy specjalnego prokuratora Jacka Smitha”. Wbrew bowiem jego żądaniom sędziowie nie tylko nie zdecydowali o szybkim biegu sprawy, ale cofnęli ją z powrotem do sądu pierwszej instancji. I co ważniejsze – z wypowiedzi szóstki sędziów, powołanych w przeszłości przez prawicowych prezydentów (w tym przez samego Trumpa), jasno wynika, że Sąd Najwyższy USA zamierza stworzyć w przyszłym wyroku nieznaną dotąd prawu amerykańskiemu instytucję immunitetu karnego głowy państwa.

Pod tym względem ustroj Ameryki różni się na przykład od ustroju Polski. U nas rzecz wygląda w miarę jasno, gdyż polska głowa państwa, zgodnie z konstytucją, odpowiada wyłącznie przed Trybunałem Stanu, a odejście z urzędu nie zmienia tej sytuacji. Obojętne zatem, czy prezydent Polski ukradłby komuś rower, czy też spróbowałby zamachu stanu, w jednym i w drugim przypadku oskarżyć go może tylko parlament w trybie procedury impeachmentu, także po odejściu z urzędu. Amerykański model impeachmentu jest węższy. Postępowanie w Kongresie nie może ani prowadzić do wyroku karnego przeciw

prezydentowi, ani też nie może być prowadzone wobec prezydenta, który odszedł z urzędu. Polityczny impeachment służyć bowiem ma w Ameryce jedynie do usunięcia prezydenta z urzędu, jeśli dopuścił się on deliktu konstytucyjnego. No a skoro tak, to powstaje pytanie, czy prezydenta można oskarżyć o przestępstwo przed zwykłym sądem? No i czy były prezydent może być przez zwykły sąd skazany za to, co zrobił podczas urzędowania?

Te pytania stały się przedmiotem rozprawy 25 kwietnia. I tu właśnie zarysowała się radykalna różnica zdań pomiędzy większością sędziów powołanych przez rządy Republikanów i mniejszością nominowaną przez Demokratów. Sędziowie – Republikanie uważają, że prezydentowi przysługuje immunitet od odpowiedzialności karnej co najmniej za niektóre z przestępstw, których dopuściłby się na urzędzie.

Republikańska sędzia Amy Coney Barrett dowodziła podczas rozprawy, że kluczowe ma tu być rozróżnienie pomiędzy tymi czynami których prezydent dopuścił się „oficjalnie”, jako głowa państwa, a tymi, które popełnił „prywatnie”, jako obywatel. Jeśli więc urzędujący prezydent ukradłby rower, to czyniłby to jako zwykły Amerykanin, więc można by mu wytoczyć zwykły proces karny. Ale jeśli wykorzystując uprawnienia głowy państwa dopuściłby się spisku przeciw Ameryce, to zwykłego procesu z tego tytułu wytoczyć mu nie można. Owszem, można mu zrobić impeachment w Kongresie, o ile oczywiście ma się tam wystarczającą większość głosów, a sam prezydent pozostaje nadal na urzędzie. Nawiasem mówiąc, uderzająca jest w tej teorii twórcza adaptacja na republikańskie potrzeby starej monarchicznej doktryny brytyjskiej o „dwóch ciałach króla”: *body natural* i *body politic*.

Sędziowie – Demokraci kpią w ogóle z idei takiego immunitetu, dowodząc, iż prowadzi on do nieznanego dotąd w Ameryce modelu bezkarności przywódcy państwa. Lewicowa sędzia Ketanji Brown Jackson przekonywała, że tego rodzaju immunitet sprawiałby, iż „kolejni prezydenci byłiby ośmieleni do popełniania przestępstw bez opamiętania”. A co byłoby wówczas, jeśliby prezydent, korzystając ze swych prerogatyw, wydał wojsku rozkaz zamordowania swego politycznego rywala? Nie ma wątpliwości, że nie byłby to czyn popełniony „prywatnie”, a więc odpowiedzialność głowy państwa byłaby wykluczona. Po dwóch i pół wieku od powstania USA, Ameryka po raz pierwszy próbuje rozstrzygnąć kluczowy konstytucyjny problem, dotyczący zakresu odpowiedzialności karnej głowy państwa. Postulowana przez sędziów – Republikanów reguła immunitetu karnego jest oczywistą i zdroworozsądkową reakcją na precedensową próbę użycia przez ekipę Bidena procesu karnego dla zablokowania powrotu do władzy politycznego wroga. Ale zarazem konsekwencje owej reguły wiodą do ryzyka ewolucji władzy w stronę tyranii. Cały ów piekielnie zawiły konstytucyjny problem, jaki ma teraz Ameryka, w ogóle by nie powstał, gdyby nie zaciekłość międzypartyjnej wrogości, jaka staje się ostatnio, nie tylko w Ameryce, *signum temporis* współczesnej demokracji. Wrogości, która otworzyła drogę do adaptacji w ustroju demokratycznym sprawdzonej i wypraktykowanej metody rządów autorytarnych, perfekcyjnie potrafiących ubierać represje sądowe w pozór „rządów prawa” i „nieuchronnej sprawiedliwości”.

Coraz rzadziej ktoś jeszcze w Ameryce udaje, iż na serio wierzy w polityczną autonomię i bezstronność sędziów w tego rodzaju politycznych sprawach. Od dawna oswoiliśmy się z tym, że amerykańscy sędziowie są silnie afiliowani ideologicznie, więc też ich decyzje w takich materiach jak np. aborcja, są przewidywalne. Od

jakiegoś czasu jest jasne, że prezydenci – Republikanie mianują sędziów antyaborcyjnych, a Demokraci – proaborcyjnych. Więc zmieniająca się arytmetyka Sądu Najwyższego wyznacza rytm zmian w konstytucyjnej wykładni tej kwestii. Teraz widać jasno, że ów nieautonomiczny i stronnicy model orzekania obejmuje również partyjną afiliację sędziów, których apolityczność stała się fikcją, obarzoną dużą dawką hipokryzji. To charakterystyczne, że amerykański autor książek o Sądzie Najwyższym Ian Millhiser, skądinąd zacięty liberał i wróg Trumpa, nie kryje, iż to, czy przyszłego prezydenta USA można będzie skazać choćby za fikcyjne przestępstwo, czy też nie, zależy już wyłącznie od aktualnej partyjnej arytmetyki Sądu Najwyższego. „Jeśli Biden zostanie pewnego dnia aresztowany na podstawie sfabrykowanych zarzutów, to tylko jedna rzecz będzie się liczyć: to, która partia będzie akurat wtedy mieć większość w Sądzie Najwyższym” – pisze Millhiser na portalu Vox. Trump już otrzymał de facto immunitet, bo stosunek sił Republikanów i Demokratów w Sądzie Najwyższym równa się 6:3. Jeśli kiedyś ta większość się odmieni, to inni partyjnie afiliowani sędziowie zmienią wykładnię kwestii immunitetu, tak by skazać, albo uwolnić głowę państwa, w zależności od aktualnych partyjnych potrzeb. Ale to właśnie oznacza, że sprawiedliwość karna została narzędziem polityki, zatem demokracja z pokorą składa hołd klasycznym rozwiązaniom autorytarnym.

*Jan Rokita*

---

Felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi” ukazują się co dwa tygodnie.

**Przeczytaj także wcześniejsze.**